

Z warszawskich teatrów

Miła Lady...

DŁUGO i niecierpliwie czekaliśmy na tę premierę. Głośno było bowiem u nas o sukcesach „My fair Lady” na zachodnich scenach i o jej filmowym wcieleniu z Audrey Hepburn w tytułowej roli. Ciekawiło zwłaszcza, jak się ma ten „wzięty” musical do swego pierwowzoru, czyli znanego i grywanego u nas chętnie „Pigmaliiona” Bernarda Shawa.

Ano ma się znakomicie. Tekst Shawa — można powiedzieć — leci tu niemal w całości, albo z drobnymi zmianami w sytuacjach (libretto: Alan Jay Lerner), zaś kilka naprawdę udanych melodii (muzyka: Friedrich Loewe) wcale zgrabnie ożywia go i zdobi. Całość wdzięczna, w rodzaju tych utworów teatralnych, na których i zabawić się można znakomicie, i niejednej prawdy o życiu nauczyć.

W dodatku nie zawiodła i warszawska „Komedia”. **Barbara Rylska** w roli tytułowej nie tylko ślicznie wygląda i wdzięcznie śpiewa, ale bardzo interesująco potrafi też przekazać dojrzewanie Elizy i jej uczuć. Dzięki temu sylwetka ulicznej kwiaciarki przemienionej w wielką panią staje się głębsza i bardziej wyrazista. Partneruje jej (gościnnie na tej scenie) **Edmund Fetting** z Teatru Dramatycznego, przekonywający i prawdziwy w roli profesora Higginsa. Wręcz żywiołowe oklaski zbiera **Wojech Rajewski** w soczystej roli śmieciarza i moralizatora — Doolittle’a.

Każda z wymienionych tu postaci ma w dodatku przynajmniej jedną popisową piosenkę-szlagier — tak, że co najmniej trzy piosenki powinny się u nas przyjąć. Zasluga w tym również **Janusza Minkiewicza** jako autora ich tekstów. Zgrabny przekład „My fair Lady” zawdzięczamy **Antoniemu Marlanowiczowi**, ciekawe ukła-

dy choreograficzne opracował **Thomas Andrew**. Reżyserowało całość aż trzech reżyserów, ponieważ jednak z powodów choroby w decydującym momencie zabrakło pierwszego z nich — rada zakładowa teatru pod wodzą energicznej **Heleny Gruszeckiej** pomogła w opanowaniu podbramkowej sytuacji. Tym większe brawa dla całego zespołu!

...i nikle „Dziewczęta”

ZARAZ następnego wieczoru przekonaliśmy się, że nie z każdego jednak tekstu można modnym sposobem przyrządzić szalowy musical. „Latające dziewczęta”, typową francuską komedię bulwarową **Marca Camoletti** oglądaliśmy niedawno w wykonaniu zespołu warszawskiej Estrady i trzeba przyznać, że w tym skromniejszym wydaniu więcej miała wdzięku. „Syrena” natomiast podbudowała ją piosenkowymi wstawkami, co tylko podkreśliło nikłość sztuczki, a bynajmniej nie przyniosło udanych piosenek. Również pomysły rolowe Syrenich filarów na tak mizernej kanwie osiągały niezamierzony efekt. Billiśmy więc brawa niezawodnej jak zawsze **Irenie Kwiatkowskiej** w roli **Bersty** — gospodyni u kawalera lawirującego między trzema nieznanymi się narzeczonymi, oklaskiwaliśmy **Kazimierza Bruszkiewicza** i piękne trzy panie, po czym wychodziliśmy smutni.

Przed teatrem czekały autorki z Łodzi, Żnina i Olsztyna. Rozumiemy pogoń za rozrywką, ale czy w akcji upowszechniania nie pomyliły się jednak organizatorom proporcje, teatry i szereg innych pojęć?

Z. SIERADZKA